

Stefania Kloza
15-974 Białystok
ul. Gajowa 30.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Urodziłam się w 1905 roku w Białymstoku. Mój ojciec - Mikołaj - był kolejjarzem a mama prowadziła gospodarstwo domowe. Dzieci było troje brat, siostra i ja. Chodziłam do szkoły powszechnej /rosyjskiej, mieszczącej się przy ulicy Grunwaldzkiej/ do 1914-go roku tj. do wybuchu pierwszej wojny światowej.

Już w pierwszych miesiącach działań wojennych mój ojciec - z racji pracy na kolei - został służbowo delegowany / "komandirówka" / do miejscowości Gaczyno, w sąsiedztwie Piotrogradu. Gdy dalszy rozwój sytuacji na frontach nie wróżył Rosji nic dobrego, ojciec skorzystał z przysługującego mu prawa i zabrał do siebie całą rodzinę. Tam byliśmy przez prawie cztery lata. W tym czasie zmarł mój ojciec i brat a siostra wyszła za mąż i po powrocie do Polski osiadła w Kielcach. Pamiętam wybuch rewolucji w pobliskim Piotrogradzie, czerwone pochody i wiece w Gaczynie. Patrzyłam na to oczyma dziecka, niewiele z tego rozumiejąc.

Do Białegostoku wróciłam tylko z mamą w końcu 1918-go roku, kiedy w mieście jeszcze gospodarzyli Niemcy. Wkrótce wybuchła wojna polsko-bolszewicka 1920-go roku, którą szczęśliwie przeżyliśmy. Do szkoły już nie poszłam; nauczyłam się szycia i w ten sposób wspierałam skromny, rodzinny budżet. Mama początkowo pracowała w niemieckiej wytwórni marmelady a po ewakuacji Niemców miała się różnych, dorywczych zajęć. Główny ciężar utrzymania rodziny spadł na mnie.

W 1926 roku wyszłam za mąż za Józefa Klozę, zawodowego sierżanta w 42 pp., który stacjonował w Białymstoku przy ul. Traugutta, w pobliżu dworca poleskiego /obecnie dworzec Białystok Fab-

ryczny/.W dwa lata później,w 1928 roku urodził się nasz syn Jerzy a w 1931 roku - córka Larysa.Mieszkaliśmy we własnym domu /który wcześniej był własnością mojego dziadka/ przy ulicy Stołecznej 59/. Obecnie budynek ten nie istnieje;wyburzono go w latach siedemdziesiątych w celu pozyskania terenów pod bpołdzielcze budownictwo mieszkaniowe.W 1936 roku,sporym nakładem kosztów odnowiliśmy cały dom.Mąż obiecywał sobie,że po przejściu na emeryturę zajmie się ogrodem.

Na miesiąc przed wybuchem wojny męża oddelegowano służbowo do Grajewa,dokąd wkrótce i ja pojechałam z dziećmi.W ostatnich dniach sierpnia męża skierowano do Białegostoku do pracy w magazynie mobilizacyjnym.Ja z dziećmi również wróciłam do naszego domu na Stołeczną.Wkrótce wybuchła wojna.Po kilku dniach pułk męża opuszczał miasto w kierunku na Baranowicze /tak przynajmniej wówczas mówiono/.Razem z dziećmi odprowadziłam męża na dworzec poleski i tam go pożegnałam po raz ostatni.

Wkrótce do miasta weszli Niemcy a w tydzień później,po ich wycofaniu się,Rosjanie.Nadal mieszkałam z mamą i dziećmi przy ulicy Stołecznej.Do naszego domu wkrótce przybył,skierowany przez nowe władze,lokator;kolejarz,Rosjanin.Okazał się człowiekiem bardzo spokojnym i wyjątkowo uczciwym.

Żyliśmy z zapasów przedwojennych oraz zasobów pieniężnych, które zostawił mąż przed wyjazdem.Po "wyborach" do Zgromadzenia Ludowego i włączeniu Białegostoku do Białoruskiej SSR poszłam odebrać nowy dokument tożsamości,gdyż odtąd byliśmy - w myśl ustaleń obu agresorów - obywatelami ZSRR.Urzędnik,który mnie przyjął,przyjrzał mi się badawczo,zajrzał do dokumentu i zapytał:"Żona oficera?" Gdy sprostowałam,że jestem żoną podoficera,z uporem powtórzył:"żona oficera".I dokumentu mi nie wydał.Był to dla mnie niepokojący sygnał.Gdy wróciłam do domu i opowiedziałam o tym mamie - rozplakała się:"wywiozą nas,napewno wywio-

zą", szlochała.

Ponieważ zapasy przedwojenne kurczyły się szybko, zaczęłam szyć. Po jakimś czasie znajomy przyprowadził do mnie Rosjankę, żeby jej coś uszyć. Odmówiłam, podając jakiś naprędce wymyślony powód. W jej zachowaniu było coś co mówiło mi, że ona przyszła do mnie w innym celu. Czułam, że coś się może stać i na wszelki wypadek postanowiłam przenocować u sąsiadów przy tej samej ulicy. Naiwnie myślałam, że jeśli będą chcieli wywieźć, to przecież nie zabiorą małych dzieci bez matki, starego dziadka i mojej, ponad sześćdziesięcioletniej matki.

Przyszli nocą, 13-go kwietnia 1940-go roku. W domu nie było, gdyż nadal nocowałam u sąsiadów. Rano, o niczym nie wiedząc, ruszyłam do domu. Podeszłam pod okno pokoju, gdzie zwykle sypiał dziadek, zapukałam w szybę aby mi otworzył drzwi wejściowe i ruszyłam ku gankowi, na który, z wnętrza domu wyszedł sowiecki żołnierz i zapytał, co ja tu robię. Odpowiedziałam, że szukam chleba i że pomyliłam adres. Wróciłam do sąsiadki i poprosiłam ją, by poszła do mojego domu na zwiady. Wkrótce wróciła z wiadomością, że czeka na mnie dwóch "bojcow" i poradziła mi uciekać do teściów, którzy mieszkali na Bojarach, co też pośpiesznie uczyniłam. Wkrótce tam dotarła wiadomość, że sowieci zamierzają wywieźć rodzinę, nie czekając na mnie. Chwyciłam dorożkę i pędem wróciłam na ulicę Stołeczną. Tu wrzaski "skorek". Jeden z żołdatów rozesłał prześcieradło na podłodze i na nie zrzucił pościel z łóżek. Mama zupełnie straciła głowę i nerwy. Chwyciłam trochę jedzenia i ruszyłam do samochodu, który już zajechał przed dom. Mama, w najwyższym zdenerwowaniu, zaczęła lżyć żołnierzy, którzy nie zwracali na to najmniejszej uwagi. Do mnie mówili: "Jedziesz do męża". Odwieziono nas na dworzec Białystok Centralny i załadowano do jednego z licznie tu stojących wagonów towarowych. Początkowo było nas w wagonie tylko dwie rodziny ale w czasie podróży przybywali następni. Prawdziwy tłok i bałagan zapanował w trakcie prze-

ładunku z wagonów normalnotorowych na szerokotorowe. W drodze, raz na dobę, dostarczano nam do jedzenia makaron, zawsze przypalony, zwany tu "łapszą". Na wyznaczonych stacjach, dwie osoby z wagonu, z wiadrem, szły pod konwojem bojca po ten przysmak. Bywało i tak, że wcześniej przejeżdżające transporty wszystko zjadły i nam nic nie zostało.

Cała podróż, jeszcze dziś, jawi mi się jako straszny koszmar. Potrzeby fizjologiczne musieliśmy załatwiać pod nadzorem eskortujących "bojcow", którzy nic sobie z tego nie robili i swoim zachowaniem przypominali zaprogramowane automaty, wyzute z ludzkich odruchów.

Celem naszej podróży okazał się "Wtoroj Pasiókok" Donieckoje, Czkałowskiego rejonu, Kokczetawskiej obłasti, do którego dotarliśmy 29-go kwietnia. Ciężarówkami zawieziono nas pod klub i tu zrzucono nasze rzeczy na ziemię. W klubie pozostawaliśmy niecałe dwa dni. "Predsiedatiel" kazał wynosić się, bo "zawtra pierwomajskij praźnik" i świetlica musi być wolna. Na nasze pytanie, gdzie mamy iść odpowiedział: szukajcie sobie sami miejsca.

Do posiołku, do którego trafiliśmy, mieszkali zesłani w 1936r., z Ukrainy Polacy i Niemcy. Kiedy oni tu przybyli, zastali puste pole i sami wszystko budowali od podstaw. Jedni z nich przyjęli do swojej nędznej lepianki naszą rodzinę/5 osób/ i jeszcze jedną/4 osoby/ a jako dziesiąty dołączył samotny student, który zgubił rodzinę i od Białegostoku podróżował w pojedynkę. Gospodarz naszego domu był uważany za dobrego fachowca. Pracował jako mechanik w miejscowej stacji naprawczej traktorów. Jego chata, podobnie jak i pozostałe, była jednoizbowa i dwustronna, tzn., że z sieni prowadziło dwoje drzwi, każde do jednej, dużej izby. Jedną z takich izb gospodarz przydzielił nam, zesłańcom. Kołchoz w posiołku należał do wyjątkowych: był tu szpital, apteka i szkoła dziesięciolatka, do której chodziły i moje dzieci, chociaż bardzo niechętnie, zwłaszcza syn. Mimo to był w klasie prymusem

/"otlicznikom"/.Do roku 1946-go tj.do naszego wyjazdu ukończył 9 klas a córka 7-em.Na wysokim poziomie stała matematyka,której uczyła pani Fąks / na imię miała chyba Bluma/,Żydówka,córka białostockiego fybrykanta,osoba po studiach,która jechała z nami w jednym transporcie.

W kołchozie pracy nie podjęłam lecz zajęłam się szyciem za produkty żywnościowe.Jednym z moich klientów był szef rejonowej placówki NKWD.Okazał się być ludzkim człowiekiem,podobnie jak i jego żona.Dwukrotnie jeździłam do niego specjalnie przysłany- mi saniami,na kilka dni.Zapłata,miejscowym pieniądzem-żywnością.Naczelnik widząc,że niepokoję się losem zostawionej w kołchozie rodziny,pojechał do mamy i zawiózł jej jedzenie."Ty się nie de- nerwuj,ty szyj".Uprzedzał,aby w kontaktach z naczelnikiem miej- scowej milicji nie chwalić czasów przedwojennych w Polsce.W dob- rej wierze proponował mi pozostanie na stałe w Rosji.Gwarantow- wał mi dobre warunki a w przyszłości korzystne "urządzenie" dzie- ci.Oczywiście odmówiłam.

Głodu nie cierpiałam,bo szycie okazało się w tamtejszych wa- runkach zajęciem nader intratnym.Wokół ludzie pracowali w strasz- nych warunkach.Ponieważ drzewa w ogóle nie było,dzieci zbierały łodygi słonecznika na opał.Po pracy ludzie siedzieli w lepian- kach przy migotliwych kagankach,zwanych tu "kopciłkami".Aby móc wyjść do sąsiedniego "posiołku",trzeba było wcześniej uzyskać zgodę miejscowego komendanta.Próbowałam nieco handlować przywie- zionymi z Polski ubrańiami,ale to zajęcie okazało się zbyt mę- czące,bo do najbliższego targowiska było 28 km,które należało pokonać pieszo.Chodziłam tam dwukrotnie.

Gdy szkoła nie funkcjonowała,co zdarzało się dosyć często, syn pracował w kołchozie.W lecie było bardzo upalnie a praca nadzwyczaj wyczerpująca.Tamtejszy deszcz też był inny od nasze- go:ulewa w postaci ścian wody.Okolica w ciągu kilku chwil za- mieniała się w bajoro.Prawdziwym jednak utrapieniem były prze-

ciekające dachy lepianek. Miejscowi Kazachowie a za nimi i zesłańcy próbowali je uszczelnić ~~je~~ dodatkowo gliną zmieszaną z końskim i krowim nawozem; z różnym skutkiem. W zimie śmiertelnym niebezpieczeństwem był "burian" - burza śnieżna tak gęsta, że widoczność spadała do zera. Zdarzały się wypadki zamarznięcia ludzi o kilka kroków od domu. "Burian" w stepie praktycznie oznaczał śmierć.

Jakiegokolwiek praktyki religijne były surowo zakazane. W swoim, zaufanym gronie skazańców-Polaków, zbieraliśmy się czasem potajemnie na modlitwę. Oczywiście to wszystko odbywało się w największej tajemnicy i zawsze wiązało się z dużym ryzykiem. Pogrzeb mojego dziadka, który zmarł tam w wieku 91 lat, miał odbyć się według miejscowego zwyczaju; ciało zawinięte w jakiś materiał ~~z~~ składano do ziemi bez trumny, bo jak wspomniałam, drewno na tym terenie było towarem deficytowym. Ponieważ szłam żonie miejscowego "predsiedatiela", ta użyła swoich wpływów i trumnę, w wielkiej tajemnicy, zrobiono. Kosztowało mnie to 0,5 litra wódki. Ponieważ siarczysty mróz skuł ziemię, wykopanie grohu przeciągało się do kilku dni, w czasie których ciało dziadka pozostawało z nami w lepiance.

Na początku 1946-go roku mogliśmy już wracać. Teraz okazało się, jak bardzo pomocna okazała się znajomość z szefem NKWD, który z wdzięczności za szycie dał mi osobiście do ręki dokumenty wyjazdu. A otrzymanie papierów wyjazdowych nie było takie proste. W tym bałaganie w najprostszej sprawie trzeba było się nachodzić. Do Białegostoku dotarłam z mamą i dwojgiem dzieci w kwietniu 1946-go roku. Tak więc mój pobyt w Rosji trwał równo sześć lat. Syn poszedł do szkoły do pierwszej klasy licealnej. Ukończył gimnazjum im. Zygmunta Augusta przy ul. Warszawskiej a następnie Wydział Mechaniczny Politechniki Warszawskiej. Zmarł w ubiegłym roku na zawał serca. Córka ukończyła Technikum Ekonomiczne w Bia-

łymstoku. Obecnie mieszka w Warszawie i pracuje w ZUS-ie. Ja natomiast podjęłam prace w Państwowym Szpitalu Klinicznym w Białymstoku jako salowa. Pracowałam tu do roku 1967-go tj. do przejścia na emeryturę. W tym samym roku, w wieku 95 lat zmarła moja matka.

Pozostają do wyjaśnienia losy mojego męża, którego pożegnałam we wrześniu 1939-go roku na dworcu poleskim. Przez jakiś czas nie było żadnych, konkretnych wiadomości. Kiedy byłam już na Syberii, mąż pisał nieoficjalnie /przysyłał listy przez osoby trzecie/ do swoich rodziców pytając, gdzie ja jestem. Ci odpowiedzieli, że nas deportowano, ale żadnego odzewu ze strony męża już nie było. Domyślaliśmy się, jak się okazało - słusznie, że korespondencja do niego nie dochodziła. Wreszcie do siostry męża napisał dr Syrota, znany naszej rodzinie z lat przedwojennych, kiedy to pracował w szpitalu w Choroszczycy i mieszkał w którymś domu przy ulicy Lipowej. Informował, że był razem z mężem na dalekiej Północy w tajdze, Komi SRR, posiołek Uchta i go leczył. Radził siostrze, aby nie pisała do mojego męża a swojego brata, bo korespondencja nie jest mu doręczana. Wreszcie dotarła kolejna wiadomość od dr-a Syroty /za pośrednictwem dr Malinowskiej/, że mój mąż zmarł w tajdze jako "lesorub" z powodu "ogólnego wycieńczenia organizmu". Potwierdzenie pobytu męża w Komi SRR otrzymałam też w Białymstoku po moim powrocie tj. po roku 1946-tym, kiedy to wrócił stamtąd jeden z sąsiadów z wiadomością, że przez pewien czas pracował z mężem, zanim ich nie rozdzielono.

Staralam się uzyskać jakieś informacje drogą urzędową. Dwukrotnie zwracałam się do Polskiego Czerwonego Krzyża - żadnej odpowiedzi. Nie żyje też już dr Syrota. Wydostał się wprawdzie z Rosji z armią Andersa ale wkrótce zmarł w Anglii. Należy więc przyjąć, że zebrane dotąd w tej sprawie informacje należy uznać za wiarygodne.

W transporcie na Syberię jechała z nami rodzina Wojciulów

z Białegostoku / z ulicy Stołecznej/. Podstawę ich deportacji stanowił donos, że ich syn, pracujący i mieszkający w Warszawie był na wojnie jako oficer rezerwy. Jedną z ich córek pracowała w Pietropawłowsku w jakiejś polskiej placówce. Pan Wojciula zmarł na Syberii.

Razem z nami była wywieziona i z nami wróciła, pani Dymitriewowa ze swoim 3-4 letnim synkiem. Mąż pani Dymitriew był nauczycielem i oficerem rezerwy.

Zostałam sama. Na ziemi rosyjskiej zostali: mój dziadek, ojciec i mąż.

СПИСЪ: ДЕМІТІЕВ ДІАНОК